1844. Nr 26. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Pszonka.

AKT III.

Scena Piérwsza.

Pokój we dworku wiejskim, w lesie położonym. Antoni Pszonka chodzi zamyślony.

(po chwili:)

— I cóż to znaczy, że mi dziś smutno,
Mnie, co się śmiałem, gdym uwodził biedną,
Gdym ją skazywał na hańbę okrutną,
Biednego starca tę nadzieję jedną,
Jednę, ostatnią w tém życiu nadzieję,
Co chyba w grobie jemu się zaśmieje.

Bo ją dziś — rzucę! — biedną, nieszczęśliwą,
(Ojciec żyć nie da z biedną, chociaż tkliwą),
I ona wtenczas, i ona, ach! może —
Umrze z rozpaczy! nieszczęsna! o Boże!
(po chwili)
Nie! nie! — nie umrze! ja jéj dziś nie rzucę,
Nie rzucę nigdy! takiego anioła,
Biednemu starcu nadzieję powrócę,
I on przebaczy, uściśnie, zawoła:
„O moje dzieci! ja tyle cierpiałem,
Ja tyle razy przez was umierałem,
Lecz dziś wy zemną, zemną nawet w grobie,
I ja spokojnie patrzę w przyszłość sobie,
I błogosławię was i wasze dzieci,
Bo i przy grobie nadzieja mi świeci,
Że ród mój przez was trwać będzie wieki. —
I żyć dla braci znów będzie aż wieki.
Ach! tyle szczęścia dla starca przy grobie,
Co teraz żyje rozpaczą okrutną;
Ach! biedną Wandzię, dzisiaj taką smutną
Oglądać wtenczas, gdy ożyje sobie,
Gdy znów ożyje śród rodzinnéj chatki,
Gdzie jéj jak w niebie — było u swéj matki;
Widzieć ją wtenczas, jak z radości łzami,
Uściśnie starca, co ją kocha tyle;
Wtenczas ją ściskać, kiedy uściskami,
Miléj zachwyci, niż teraz w tę chwilę:
O wtenczas, wtenczas najszczęśliwszym z ludzi,
Wtenczas na ziemi nic mnie nieułudzi!
(po chwili)
Lecz wtenczas ojciec mój okrutny,
Mnie się wyrzeknie, odepchnie od siebie,
I los nasz będzie aż na zawsze smutny,
Bo będziem biedni, choć będziem żyć w niebie.

Tak, wtenczas biedni, a ja nie znam biedy
I znać jéj nie chcę! — co mi tam po biedzie! —
I któż na świecie rzucał złoto wtedy,
Gdy mu ze złotem wszystko się tak wiedzie?
Wszak nawet Wandzie, niewinną sierotę
Dali natychmiast za pieniądze złote,
Więc chociaż serce coś mi i wspomniało,
Że dla jéj szczęścia mam poświęcić siebie,
Jednak rozumu jeszcze mi dziś stało,
Że złoto lepsze niż żyć tu, jak w niebie.
I ja tak zrobię: — ponieważ tu złoto,
Tak, przecież nie ja, lecz złoto zgrzeszyło,
Więc też i trzeba nieszczęsna sieroto,
By ci za krzywdę złoto zapłaciło.
Dam ci co zechcesz, choć ze sto tysięcy,
Choćby ze dwieście, choćby nawet więcéj,
I ty dziś biedna, na zawsze shańbiona,
Wtenczas ze złotem — o! córko rodzona,
Przyjmie cię ojciec, przeprosicie siebie,
I męża znajdziesz — będzie wam jak w niebie.
A ja tymczasem, z tłuściuchną Żanetką,
Z Polką z Paryża, z głupiuchną kokietką,
Z mym starym skąpcem i z lisem Szczepanem,
Żyć będę szumno! o! tatarskim hanem!
Lecz z Wandzią potém, a teraz do
Kokietki! (ma wybiedz wtém staje).

Ale, ale prezencik (pędzi do biórka, wyjmuje cóś i chowa, i ma znów wybiedz, ale aniołek szesnastoletni — nieszczęśliwa Wandzia — spotyka go z otwartém objęciem.)

W*andzia*. Pewnie do mnie mój Antolku! (tuli go w objęciu i całuje).

Antoni. (w nieładzie). Tak, tak — mój aniele! (całuje ją) — Ale czemuś tak zmięszany?

— Nic ci nie mówiłem, bo sądziłem że to tylko próżne marzenie; lecz jak widzę sen mój, niezawodne przeczucie, bo co chwila mnie bardziéj dręczy.

— Jakiż to sen tak cię dręczy?

— O okrutny! śniło mi się że mój ojciec umiera!

— Ale to być nie może, wszak dni pare jak go widziałeś, a był zdrów zupełnie.

— (na stronę). I dziś pewno zdrów. (głośno) Jednak ja lękam się o niego, w tak podeszłym wieku.....

— (ze łzami) I znów mnie rzucisz mój drogi?

— Znów cię zostawię na chwilę.

— Ach mój drogi! mój luby! mój drogi!
Gdyś mnie raz piérwszy przyciskał do łona,
Gdy mnie ożywiał twój uścisk tak błogi,
Aż się zaśmiała ma dusza dręczona,
Tak lubo, mile, — jak nigdy na świecie,
Jak nigdy, nigdy! tak mile się śmiała, -
Jak tylko wtenczas, gdym twe lube dziecię,
Do mojéj duszy! ciebie przyciskała......
Ach! — ach! — w tę chwilę, w pierwszą błogą chwilę,
W piérwszym uścisku, mój luby! mój drogi!
Ile jéj nié ma nawet anioł błogi,
Ile nikt nigdzie nie znalazł dla siebie,
Ile jéj niéma — nawet w samém niebie!
Ile tu tylko w twym uśmiechu błogim,
W twoim uścisku, w twym uścisku drogim!
Tu na roskoszném, na twém lubém łonie!
Tu w twojém sercu, w twojém sercu płonie!
Marzyłam tyle, — ach roskoszy tyle!
A jednak dzisiaj — o Boże! mój Boże!
Czyż moje serce żyć tu jeszcze może?
Kiedym skonała! — kiedym już w mogile!
Kiedym już w grobie już w rozpaczy grobie! —

Kiedy na los mój! ach! — tak płaczę sobie!
(i nieszczęśliwa zalała się łzami —
(wzruszony biedną przyciska do łona)
— Droga! — ma droga — tyś na wieki moją,
Moim aniołem! drugą duszą moją!
Ja cię nie rzucę! jam z tobą, przy tobie,
Twoim na świecie, twoim nawet w grobie!...
— Więc mnie nie rzucisz! mój luby!... mój drogi!...
Więc mnie nie rzuci! mój anioł, mój błogi!..
Ach znów ożyję tu na twojém łonie,
Przy twojém sercu, co dla mnie tak płonie,
Jak twoje lice dla mnie rajem śmieje,
Jak twoja dusza dla mnie życie leje,
Jak ty mój luby! mnie niebem na świecie,
Jak ty mój drogi! mnie wszystkiem na świecie!...
Ja tak czuję! mój luby, mój Boże!
I cóż mi trzeba? cóż mi trzeba jeszcze?
Ach! — czyż me serce zapomnieć to może?
Że gdy tu z tobą tak się lubo pieszczę,
Tak żyję rajem, tak się rajem śmieję,
Tak żyję błogo, ach! tak żyję mile:
Mój ojciec — Boże! — tam z rozpaczy mdleje,
Tam ach! — przezemnie — może już w mogile! (płacze)
— Ach nie płacz droga! — twój ojciec szczęśliwy:
On dotąd niewie żeś moją na wieki,
Jednak dzień szczęścia teraz niedaleki.
Bo choć mój ojciec, co tak dla mnie tkliwy,
Nie pragnie jeszcze los mój złączyć z twoim,
Lecz moje prośby o! zjednają tyle,
Że będziesz wiecznie uśmiechać się mile,
W moich objęciach, przy twym ojcu drogim,
W moich uściskach, tam w twym raju błogim.

— Znowu nadzieja, ach znów promień błogi,
Przed którym tęskność z duszy ma ulecieć;
Lecz ileż razy błysnął promień drogi,
A świat, ach! dla mnie — życiem nie chce świecić,
A świat, ach! może z nieszczęsnéj się śmieje,
Chociaż z boleścią tak gasnę, tak mdleję.
A świat, ach może dla mnie grób otwiera,
Gdy moje serce — jemu się otwiera,
Jego swém życiem, chce ożywić, cieszyć,
Jemu żyć pragnie, chociaż wieczne chwile.
I nawet wtenczas gdy skrzepnie w mogile,
Swojém westchnieniem — chce w żalu pocieszyć.
Ten świat — tak — ten świat! — co dla mnie ach! może —
Już grób otwiéra! — już grób!! Boże! — Boże! (płacze)
— O moja luba! — po co takie żale?
Wszak ja cię kocham nad wszystko na świecie,
Wszak za twe życie oddam moje stale,
Tylko tak nie płacz! — ach pociesz się przecie!
Pociesz nadzieją, — bo nawet w tę chwilę,
Zjednam prośbami ojca zewolenie,
I wrócę, wrócę — skończyć twe cierpienie,
Aby twe serce dla mnie żyło mile,
Nawet dla wszystkich żyło w wieki mile,
Nawet dla wszystkich żyło i w mogile! —
Więc żegnaj luba na chwilę, na jedną,
Potém przysięgnę żyć wiecznie dla ciebie,
Pocieszać w żalu twoję duszę biedną,
Jak ją chce teraz pocieszyć dla siebie.....
(Okrutna boleść mówić jéj nie dała,
A więc nieszczęsna ledwie zajęczała).
— Jakże mi ciężko, jakże serce płacze,
Jakaż je boleść! jakaż rozpacz ściska,
Ach! Ach! — to grób już me serce przyciska!
Czyż ja cię jeszcze choć kiedy zobaczę!

(Ze łzami, z jękiem, rozpaczą ściśniona,
Prawie mdlejąca tuli go do łona.)
(wzruszony): Za jednę chwilę! — moja luba! droga!
Za jednę chwilę! powrócę, powrócę!
Tak, tak! dziś nawet boleść twoję skrócę,
A teraz żegnaj! ma luba! ma droga!...
(Teraz płacz zdrajco! jak ją śmierć wypija,
W jakich ją mękach twe serce dobija,
Patrz na jéj rospacz, patrz, jak biedną ściska,
Jak za śmierć serca — do serca przyciska
Ciebie wyrodny! co nie czujesz męki,
Co ledwie słyszysz konającéj jęki).
„Żegnaj, ach żegnaj! — może już na wieki!
Moja nadziejo żegnaj mi na wieki!“
(Teraz już umrze sierota-ofiara,
Teraz z anioła — strasznéj śmierci mara,
Teraz się sama domęczy, dobije,
Teraz ją rzucaj póki jeszcze żyje,
„A jednak, jednak!!!.... (wychodzi).

L. Sowiński.

BOLESŁAW.

(Urywek).

„Jakże zimno mi w téj stronie,
Ach jak zimno mi tu w grobie,
O! nie zimniéj jak po skonie,
Mnie tu zimniéj — niż tam w grobie.

Czemuż zimno mi w téj stronie
Gdy wre serce jak szaleńca,
Kiedy duch mój tak mi płonie,
Jak tam w piekle potępieńca!

Czemuż zimno mi w téj stronie,
Gdy łza ogniem tu mi pada,
Tu — na serce — aż tam tonie,
I me życie — ach! wyjada!

Czemuż zimno mi w téj stronie,
Gdy z mą lubą choć w marzeniu —
Ginę w takiém upojeniu,
Że ma dusza — niebem płonie!

Czemuż zimniéj mi jak w grobie,
Gdy po drogiej mojéj ziemi,
Tak ja wzdycham, jęczę sobie,
Aż ma rozpacz piekło plemi!

Czemuż zimniéj mi jak w grobie,
Gdy dla biednych, gdy za brata
Tak me serce płacze sobie,
Jak je męczy serce świata!

Bo ma ziemia — ach! — daleko,
Tam daleko! — bracia moi,
Ten z zamkniętą już powieką,
Ten nad ciężkim grobem stoi!

Bo nie dla mnie uścisk bratni,
Tu nie dla mnie uścisk drogiéj,
Chociaż jeden, jeden błogi,
Niż pierś wyda jęk ostatni.

Bo nie dla mnie błoga dola,
Uśmiech szczęścia choć daleki,
Dla mnie tylko — żal, niedola,
Ach! na zawszę ach na wieki!

Noc — zimno, mglisto, jakby śród pieczary,
Dokoła cisza, żadnéj ludzkiéj mary,
Niedługo północ — a przy nim się śmieją,
Bo ich los wściekły okrutnie nie męczy;
A jemu znowu gorzkie łzy się chwieją,
A on tak wzdycha, tak mu serce jęczy,
Że marzył szczęsny tylko jednę chwilę,
Ach tylko jednę — chociaż dla ludzkości.
I znów zbudzili tu w zimnéj mogile,
Ażeby cierpieć, bo żyć tam — w mogile,
Bo wspomnić wszystko, co marzył w przeszłości,
A chciał zapomnieć myśląc o ludzkości.
Kazali patrzeć, jak się los uśmiecha,
Jak jemu serce, jak dusza usycha;

Kazali śmiać się — gdy on łzą poglądа,
Kazali ożyć gdy on grobu żąda,
Bo ach! szczęśliwym byłby tu — w swym grobie,
Gdyby żyć z sobą, tylko w samotności,
Gdyby tak wzdychać, tak jęczyć nie sobie,
Tylko dla braci,dla biednéj ludzkości.
Ha! nawet konać lepiéj tu jednemu:
Nikt śmiać nię będzie gdy łza łzę potrąca,
Nikt śmiać nie będzie, kiedy dusza wrząca
Zapali piekłem to serce biednemu,
Zapali strasznie, okrutnie i wściekle,
Jakby z rozpaczy już miał ginąć w piekle,
Jakby z rozpaczy jego duch szalony
Miał skruszyć serce — wulkan rozpalony!
Tak nawet konać! — lepiéj w samotności,
W téj zimnéj, mglistéj, ponuréj północy;
Chyba tam jemu wzdychać dla ludzkości,
Kiedy zapomni o téj w życiu nocy,
Kiedy zapomni, że tak tu umiera,
A łez i oczu grób mu nie zawiera.
On już porzuca tę zgraję śmiejącą,
Pędzi jak wicher, pędzi jak szaleniec,
Bo chce zapomnieć duszę konającą,
Zapomnieć sobie, że on potępieniec,
Rzucony ludziom, by rwali mu serce
Biedne, niewinne, ach! — rozdarte serce.

I.

I kiedyż, kiedyż on doczeka chwili,
W któréj go boleść nie będzie wypijać,
W któréj go rozpacz nie będzie dobijać,
Gdy mu grób życia tęskny kwiat umili,

Gdy przy tym grobie jemu się zaśmieje,
Ach! taka miła, smętna róża blada,
Tak bolejąca, ale szczęsna, rada,
Że on z rozpaczy gorzko nie zapłacze
Na swoje życie, na życie tułacze!

2.

I kiedyż, kiedyż on ujrzy tę chwilę?
Gdy jego serce, jego duszę biedną
Pocieszą żalem, choć tylko łzą jedną,
Ożywią znowu na świecie — w mogile.
Ożywią przecie tu w rozpaczy grobie,
Ach! zbudzą przecie swego żalu tchnieniem,
Pocieszającém swéj duszy westchnieniem,
Tak mu zaśmieją, jak w radości sobie,
Tak go uścisną choć raz jeden przecie,
Że on ożyje tu w grobie — na świecie.

3.

Ach! kiedyż, kiedyż on ujrzy tę chwilę?
Gdy po boleści, po takiéj rospaczy,
Po strasznéj doli nieszczęsnych tułaczy,
On choć raz jeden ożyje w mogile,
On choć raz tylko ach! ożyje przecie
Na swojéj drogiéj, téj rodzinnéj ziemi,
Z miłém wspomnieniem, z nadziejami swemi,
Ze swojém wszystkiém, tam — na biédnym świecie,

Co mu tak płacze, co tak jęczy sobie,
Tak on tu płacze, jak jęczy w swym grobie.

4.

Ach kiedyż, kiedyż on ujrzy tę chwilę,
Gdy on nieszczęsny, tak losem dręczony.
Tak zimno, zimno, ludzmi 'udręczony,
Chociaż raz jeden westchnie sobie miłe,
Chociaż raz przecież uśmiechnie się miłe,
Choć raz uściśnie, przyciśnie do siebie —
Tę, co tak tęschni, tak mu mdleje w niebie,
Lecz się uśmiechnie może długie chwile,
Gdy na swéj ziemi, dla niéj westchnie miłe.

5.

A kiedy niéma dla niego téj chwili,
Gdy mu do grobu straszne, ciężkie jęki,
Gdy mu do grobu! — ach! — piekielne męki,
Gdy tylko piekło to życie umili.
Za cóż mu jeszcze jęczyć wśród rozpaczy,
Za cóż mu serce tak wsciekle rozdzierać,
Za cóż mu konać ale nie umierać! —
Śród mąk, śród jęków, nieszczęsnych tułaczy.
Czemuż mu teraz nie skonać na wieki,
Kiedy mu wszystko skonało — na wieki.
I znowu tęskność, i znowu westchnienia,
I znowu boleść wygnańców tułaczy,
Ich łzy, ich jęki, ich straszne cierpienia,
I widmo śmierci śród dzikiéj rozpaczy.

A śmierć mu dzisiaj jak mile się śmieje,
Zda się, chce ściskać w skostniałe ramiona,
Zda się, bez niego na wieki zemdleje,
Jak bez lubego — tak bez niego skona.
Jakże mu tęskni, jakież jéj spojrzenia,
To chyba lubéj tak błogie westchnienia,
A jak wskazuje z mile-gorzkim śmiechem —
Na ten grób zimny przy ciężkiéj mogile:
Ach! — czyż tam tylko on żyje mile,
A świat pożegna dzikiém piekieł echem,
A świat pożegna na wieki — w młodości,
I już nie jęknie dla braci, ludzkości!
Ach! czyż tam tylko pod zimną mogiłą,
Wsciekłe cierpienie nie będzie dręczyło!
Czy tylko z śmiercią na jéj straszném łonie,
W błogiem marzeniu na wieki utonie!
Ha! — czekaj, czekaj maro miła, wściekła!
Jeszcze łez dosyć, — by konać bez końca,
Jeszcze łez dosyć by dusza mdlejąca,
Zginąć tu miała wśród rozpaczy piekła.
Kiedy boleści nie stanie westchnienia,
Kiedy rozpaczy nie stanie jęczenia,
Gdy spłonie piekłem rozpalone oko,
Gdy będzie piekło tam w sercu głęboko!
Kiedy on westchnie okrutném westchnieniem,
Kiedy on jęknie, piekielném jęczeniem,
Zazgrzytnie dziko! wśród dzikiéj rozpaczy,
Wtenczas on z tobą — w mogile tułaczy,
Wtenczas on z tobą, na twém straszném łonie,
Szarpiąc to serce w męczarniach utonie!

L. Sowiński.

Mścisław.

(Urywek).

Tu szumi Wisła pomiędzy górami:
Po jednéj stronie czernią chaty małe,
Po drugiéj zamek otoczon wałami,
A na nich widać baszty wybujałe.
Zamek był niegdyś jakby niezdobyty,
Bo wał i rowy dziś to świadczą jeszcze;
Lecz teraz w gruzach baszt odwiecznych szczyty,
I zamek cały, jak te zamki wieszcze.
Liczne komnaty, długie i wysokie,
Z okném bez światła, z obiciem wytartém,
Gorsze niż jamy podziemne, głębokie,
I jak żebracy w odzieniu podartém.
Za niemi ciągnie obszerna kaplica,
Ciemna i straszna, jak straszna pieczara —
Słońce w niéj błyszczy jakby trupie lica,
A noc tak jęczy, jak przeklęta mara;
Obok niéj świeższa od tamtych komnata,
Po ścianach rzędem portrety rodzinne
Jedne już pewno liczą setne lata,
A drugie młodsze, jeszcze młodsze inne.
Przy ścianach ławy, dziś tylko dębowe,
Nie kryte złotem, jak pierwéj bywało,
W środku dębowy stół zgięty w podkowę,
I w każdym kącie po lampie wisiało.

Już obszerniejsza od innych komnata,
Po ścianach łuki i w sajdakach strzały,
I różne zbroje, jak z całego świata,
A potém szable, szable i kindżały.
Daléj ostatnia pomniejsza komnata,
Na jednéj ścianie kordelasy, rogi,
Na drugiéj portret książęcego brata,
A nad nim ojca, daléj znowu rogi.
Wokoło stołki, i stoły, i ławy,
Tylko przy stronie gdzie myśliwskie sprzęty,
Dębowe łoże, na niem żubr cisawy,
A tuż na stole krzyż i jakiś święty.
Teraz w komnacie, oparty o ścianę,
Blady i tęskny, duma książe młody,
Czasem wypadną słowa przerywane,
I znowu martwy, jak północy lody,
Zapewne w sercu niezgojona rana,
Bo ogniem gromu błyska mu źrenica;
Pewno w cierpieniach dusza zhartowana,
Bo uśmiech dziki rzadko zbiega z lica.
Teraz na trupią Mścisława jagodę,
Wyjrzał i wtoczył rumieniec dziewicy;
Lecz tylko chwila, i już lica młode
Zawrzały ogniem krwawéj błyskawicy,
Skoczył w komnatę, wzrok utopił w ziemi,
Może spokojność powróci do duszy,
Lecz ogień pali bo go dusza plemi,
A ogień ducha — wieczne lody kruszy.
Więc znowu okiem w martwą ścianę błysnął,
A brat i ojciec znów we krwi stanęli,
Więc — „piekło! piekło!" — wściekle szablę ścisnął,
A brat i ojciec głową mu skinęli.

L. Sowiński.

SŁOWO ŻYCIA.

Wyjątek z części piérwszéj, rozdziału 2go, który ma napis:

Życie ludzkie — wiara i wątpliwość — czyn.

Jak złota tarcza bohatéra, księżyc świeci w błękicie. Duchu świata! daj ochłodę mojemu uczuciu.
Rozściel te fale w gładką równinę. Daj aby serce moje doznało twojéj słodkiéj przytomności.

z Róży stulistéj F. W. Czelakowskiego.

W życiu człowieka nie jedna władza, chociaż jedna siła (duchem zwana) działa, w rozmaitéj się jawiąc w nas postaci. To człowiek myśli, to chce czegoś, to czuje cóś i tęskni sobie, albo się nudzi — to znowu żywsze uczucie przelewa się w uczucie, a wiara je ustala, aby dać jakąś podstawę działaniu. Nieraz głowa pełna rojących się myśli, a jednak śród tego bogactwa i okwitości, człowiek czuje ubóstwo swoje bez czucia, bo mu równie trudno żyć bez serca jak bez myśli. Myśl i uczucie całkować się mają, aby się wzniosły w czyn, owoc woli człowieka. Lecz cóż, kiedy i sam czyn nie starczy do życia, bo to tylko wezbranie życia, co jak wzniesiona fala znowu opada, i znów się człowiek o czemś zamyślił, i zatęsknił do czegoś na nowo. I na cóż mu to życie? By wiecznie działać, myślić, i tęsknić do uczuć myśli i czynów; by w tém wieczném krążeniu uznać, że nie tu ojczyzna jego, że tu tylko wędrówka, przejście do lepszego, doskonalszego, pełniejszego życia. Gdybyś temu nie chciał wierzyć, to i tak trzymać się musisz bliższéj przyczyny, i żyć by dopełnić woli tego, co cię stworzył i przez to samo żyć kazał. Rozumuj jak sobie

chcesz. jak umiesz, jak ci lepiéj — żyj tylko. Prawda jest wszechstronna, a zatém skąd chcesz, gdzie tkniesz, wszędzie ją napotkasz — w życiu, zewsząd ją wyprowadzisz, i dla tego nie zacieśniaj jéj wyłącznością myślenia lub wiary. Żyj tylko, bo wszystko ci wolno, wolno niewierzyć, wątpić, ale *nieżyć* nie wolno, gdyż wszystko, co cię otacza, woła o życie, a najprostsze przekonanie *konieczności* zniewala do życia i uświęca twą pracę.

Ale kiedy śród działania opadną ci ręce i mimowolnie nieraz się zamyślisz o sobie, pamiętaj że ta *myśl* jest równie rzeczywista jak natura, co cię otacza, jak praca i umiarkowanie życia twojego, i równie konieczna. Duch to przemawia do nas wtedy mową dobrze nam znaną, i to jest źródło najpłynniejsze, z którego mędrcy czerpali zawsze na pociechę rodu ludzkiego. Człowiek jest małym światkiem i nic nad niego niéma wyższego na świecie, a wszystkie władze jego są to niby włoski roślinki na prawdobranie, wciąganie w siebie téj prawdy, co jest rozlana w dziełach stworzenia jak siła żywotna. Myśl więc każdy, ktoś uczuł potrzebę myślenia, a prawda, co przez zycie płynęła w ciebie, puści się nową strugą srebrnych wód myślenia, i uczujesz podwojoną roskosz swojego istnienia. Zaspokojamy pragnienie serca, dopełniając bezpośrednio przeznaczenia naszego. *Poznając* na czém to dopełnienie zależy, karmimy rozum. Piérwsza droga prostsza, ale tylko dla dzieci małych lub starych, dla najniższych słojów społeczeństwa, tych wiecznych dzieci pod władzą lub opieką starszych — ale w słojach więcéj wzniesionych, więcéj się oddalono od bezpośredniości uczuć, więcéj wydeptano dróżyn nieprawości, a zatém z drogi prawdziwéj prędzéj się zbić można, i myśl tu na pomoc idzie. Dziś człowiek mniéj więcéj wykształcony, mieć musi ogólne jakie takie pojęcie o przeznaczeniu swojém w społeczeństwie, a w szczegole poznać to, co dlań wyłącznie w życiu ma być potrzebne. Ogół idzie zawsze za popędem natury, chwyta bezpośrednio to, co

mu serce podaje, lub mysłem prawdobrania pierwszą lepszą z nawijających mu się prawd wybiera na zapas do przystosowania, czy to w słowie czy w życiu. Nie każdy jednak przestać na tém może. Kto się lubi zastanawiać nad sobą, bada naturę i szuka zasady uczucia. Dla takich to piszę a pisząc, sam doznaję przyjemności. Przystępuję do rozwagi natury ludzkiéj, a mianowicie tego, co nas najbliżéj obchodzi. W dobréj wierze, w poczciwém przekonaniu sądzę, że mogę być pożytecznym, a jeżeli się nie ziszczą moje nadzieje, jeżeli to się nikomu na nic nie przyda, jeżeli nikt tego czytać nie zechce, przyda się dla mnie samego, i odczytywać będę w chwilach czczości i tęsknoty, jak tyle innych myśli, uwag i postrzeżeń z życia wyjętych i zachowanych dla życia. Pisząc sieję ziarno, jak rolnik, i tego mi potrzeba do zaspokojenia ducha, jak kawałka chleba do życia, jak jałmużny, ofiary grosza na ołtarzu dobra powszechnego dla serca. Każdy dla dobra ogółu działać powinien, jak umie, i przyczyniać się czém może i ile go stanie.

W życiu naszém to jest najistotniejsze, prawdziwe i wielkie, co konieczne, powszechne, co się przeciska we wszystkie słoje społeczeństwa, co ożywia człowieka i w głębokiém osamotnieniu śród obcych, i w domowém rodzinném pożyciu, i śród towarzyskiéj zabawy: myśli proste, jasne uczucia, szczére, wola chętna dla dobra innych. O gdybym mógł przelać we wszystkich tę myśl, że urzeczywistnienie dobra ludzkości, przeznaczenie świata, najlepiéj się dokonywa przez jak najdokładniejsze wypełnianie obowiązków względem siebie samego! Rozmaite, a najczęściéj niezależne od nas położenie w świecie, usposobienie wrodzone, tysiączne zresztą okoliczności przypadkowych, skłaniają człowieka do zajęcia się tém lub owém. Ten buja w krainie oderwanych myśli, ów uczuciem ożywia tysiące, ci w pocie czoła pracują na życie, a kiedy przyjdzie chwila sądu ostatecznego na dolinie własnego *sumienia*, nie

z uczuć, nie z myśli zdawać sprawę przed tym sprawiedliwym sędzią, ale z życia, z tego, czego po człowieku ma prawo wymagać sumienie (natura i wiara historyczna). Wtedy nie myśli oderwane, nie marzenia, nie praca na chléb, ale to, co czysto ludzkie, co tchnęło pobudki myślenia, uczucia i woli, odpowiadać będzie przed strasznym sędzią żywych i umarłych.

Nie każdy z nas ma jednakie pole uprawy, ale każdy jedne i te same siły, bo pielęgnuje bóstwo w rdzeniu swego człowieczeństwa, i jak je piastował odpowie. O zaiste, wielki i ten na świecie, kto *żył*, choćby dla świata nic nie zrobił w przechodzie po ziemi, bo pracował na siebie, a zatém na świat, bo uznał, bo wypieścił swoję duszę, to dziecię boże, zesłane na ten padoł płaczu, aby cierpiało od kolebki do grobu. W istocie zajęcia nasze są rzeczą przypadkową, i nie stanowią treści życia, ale jego szatę. Że ten lub ów zajmuje się gospodarstwem a inny nauką, nie jest to istotną różnicą, i błąd wielki, że jedynie praca umysłowa ugodnia człowieka. W chłopku i uczonym duch jeden i wszędzie może być człowiekiem, bo wszędzie otaczający nas świat zjawisk rozdraźni potrzebami konieczność, i rozbudzi siły duszy, a tém samém zaspokoi wieczne dążenie człowieka. Człowiek jak ludzkość, idzie naprzód o własnéj sile, nie o szczudłach nauki, nie podpiera się pożyczanym z książek rozumem. Opatrzność zostawiła go własnéj wielkości i siłom, a nauka jest tylko napomknieniem. To dążenie wprost życiowe. Z drugiéj strony, wszystkie władze człowieka pojedyńczo brane, mają byt udzielny, pragną się ostać same przez się, i potrzebują zaspokojenia w tej odrębnej samodzielności. Dla zaspokojenia tych nowych potrzeb, nowe siły ducha tworzą nowe bogactwa. Rozum szuka prawdy dla zaspokojenia wrodzonéj ciekawości, uśmierzenia powstającéj wątpliwości i t. p., słowem dla odszukania zasad stworzonego świata. Uczucie pragnie go odwzorować i powstaje *sztuka*, jak *nauka* z uznania po-

wstata. Nauki więc i sztuki wyłoniają się na zewnątrz, jak wyspy z oceanu wód morskich, jak nowe kłęby buchającego ogniem i dymem ducha, a to dla zaspokojenia nowych potrzeb już wykształconego człowieka, i jak życie konieczném było, bo tęskniła doń cała natura i zająć się pragnęła tą pojętnością, cobyześrodkowała w sobie celowość świata, tak nauki i sztuki powstać musiały, bo tęsknił do nich rozum, tęskniło uczucie. W życiu człowiek usiłuje się wykazać na zewnątrz, rozszerzyć swoję osobistość mieniem, wyrazić się w świecie zewnętrznym dobytkiem cząstki jego. W nauce i sztuce podobnie usiłuje zdobyć wszystko, co jest w świecie, i przeniosłszy w siebie in solidum, wylewa potém myśli, wynurza uczucia, wcielając je w całkiem zmysłowe lub bardziéj uduchownione postacie, n. p. pismo.

Potrzebą więc ducha jest tworzyć, jak ciało pracować, a rodzaj pracy tam i tu położenie oznacza. W każdym razie starać się powinien pracownik dopomódz, czy to naturze wydania owoców, i przekształcenia surowych materijałów, czy prawdzie w zdjęciu jéj z myśli i uczucia, lub wyświeceniu w naturze i dziejach ludzkości, czyli wierze historycznéj. Chłopek i uczony to równi. Potrzeby ducha tak uspokajać trzeba, jak potrzeby ciała, czując nieodbitą ich konieczność, bo jedynie konieczność ugodnia najwznioślėj życie. Tu cel i środek razem. Nie uważajmy nauki za środek tylko, jak ludzie proszku, grosza, nie ducha; bo wtedy myśl jałowa, albo niedojrzała, albo nie wyda żadnego płodu, albo przedwczesny poroni, a w takim niedonoszonym płodzie, albo się nie utrzyma dusza, albo się weń nie wcieliła wcale — będzie to martwe dziecię erudycyi, albo belletryzmu. Gorączka pisania jest chorobą właściwą młodości, jak każda inna namiętność i źle skierowana szkodzi, powodowana rozsądkiem i doświadczeniem, uświęcona potrzebą duszy, umila i ubłoża byt nasz doczesny. W każdym razie piśmiączka, czy w postaci gorączki czy zimnicy (wierszem czy prozą) jest to jedno z najniewinniejszych, bo najmniéj

szkodliwe głupstwo na świecie, bo w ostanim i najgorszym razie łechta w niezdarnym pismaku miłość własną, i czas niejakiś nadyma próżność, a to jednostronne uczucie siebie, jako przechodowe, zniknąć musi. Pamiętajmy zaś, że od dumnego uczucia sił własnych, zaczyna sie ich prawe użycie na własne dobro, a zatem i dla innych (bo to nieodłączne). W sztucznéj atmosferze życia zanurzeni, uczyć się powinniśmy sztuki życia, która właśnie na tém zależy, aby człowiek nabył zręczności i wprawy, nałogu schwytania się na każdym gorącym uczynku miłości własnéj, a wtedy błogo, o błogo mu, bo pędzi co żywo, z ognistym zapałem, po drodze postępu, a wiatr próżności rozdyma żagle życia, skierowane do zamierzonego celu. Nie będzie to mazgaj sentymentalny, nie świętoszek udany, nie utrapieniec towarzystwa, pragnący się odznaczyć dziwactwy i szczególnością od inszych — ale człowiek, co zna swoję złą i dobrą stronę, mąż myśli, uczucia, woli, słowem mąż czynu.

Zresztą życie ludzkie, to różnowzore, pstre życie, a raczéj odwieczny duch przeglądający się w kropelce czasu, życie utrzymujące się śmiercią i zniszczeniem, życie w którém wszystko jak piorun przekrąża i miga jak błyskawica, najlepszym jest nauczycielem każdego. Nauczy ono żyć człowieka; zostawmy więc każdego jak go Bóg zostawia, własnéj wielkości, a jeśli tylko nauczył się zastanawiać, błogo przeżyje nawet wśród goryczy życia, bo pozna że przeciwności, nieszczęścia, śmierć sama składa się na okazałość życia, którego nasze potoczne życie tak miłe i lube każdemu, i śmierć któréj się tak lękamy, są tylko dobami jak dzień i noc w wieczności. Niechaj nie ginie iskra młodego wieku — pielęgnujmy ją — zda się do życia, i zawsze pierś młoda, gorąca będzie. Tymczasem jednak korzystać trzeba z tego usposobienia duszy gorącéj zapałem prawdy, póki wulkan wrze i kipi i ognistą lawą buchać usiłuje, bo któż zaręczy, czy świat nie ostudzi zapału, obłożywszy nas jak w gorączce lodem

przeciwności? Może przyjdzie czas, kiedy i wytrzymałą duszę złamie trudna dola, troska ściśnie serce i spiecze je, wysuszy, a wtedy za całą prawdę stanie ciężkie westchnienie, wtedy, dla pogodzenia się z sobą i światem, a raczéj wolą Bożą łzami się tylko zalejesz...... lecz nie znajdziesz gorzkiéj żółci, ciągłéj niedoli, nie stracisz cierpliwości pochodzącéj z zamiarów co się nie udały, lub straconych przez własną winę rzetelnych życia korzyści.

Działajmy więc, bo tak każe natura. Wierzmy, bo nie wierzyć trudno na ziemi, a kiedy mgła wątpliwości zadymi się w duszy, — czemuż nie wątpić? Ale przedewszystkiem urządźmy życie nasze — to wszystko rozwiąże. Życie najprościéj, bo najpraktyczniéj rozwiązuje najzawikłańsze pytania filozofii.

Jan Majorkiewicz — Mazur.

Pisałem w Moskwie w maju 1844 *r.*

WILLIAM SZEKSPIR. (*)

(Przegląd). —

William Szekspir — opowiada Clemence Robert — syn handlarza wełny w Stratford nad Awoną, już od lat najmłodszych okazywał wielki zapał do poezyi; uczył się wierszy na pamięć, objawiając zarazem najwyższy wstręt do zatrudnienia ojcowskiego, i skoro tylko mógł wykraść się z domu, pobiegł na teatr istniejący w Stratfort — lichy zaiste — przepędzając tam najmilsze dla siebie chwile. — Tutaj odbierał i przytrzymywał konie przybywającym na widowisko, szczęśliwy, jeżeli w niemożności opłacenia ostatniego dla siebie miejsca, mógł chociaż przez szczelinę cząstkę sceny zobaczyć, lub słów kilka dosłyszeć. Często za niego płacił Henryk, syn hrabiego Southampton, z którym w najściślejszéj zostawał przyjaźni — żalili się przed sobą wzajemnie na cierpkość losów: William, że miał wełny pilnować i rachunki kupieckie prowadzić, a Henryk temi wyrazami: *On fait toujours mon éducation de seigneur: ma socur, qui a quelques années de plus que moi, me donne des leçons de blasons en arrangeant ses*

(*) *William Shakspere par Clémence Robert. Bruxelles, Meline, Cans et compagnie* 1844. Clemence Robert pisze *„Shakspere“* a nie *Shakespeare*, ponieważ na ostatniém wydaniu londyńskiem dzieł tego znakomitego poety i dramaturga, nazwisko jego tak odtłoczoném zostało — stosownie do pozostałych po nim autografów.

rosettes de rubans; ma grand'mère m'enseigne tous les jeux de cartes, qu'on jouait à la cour de Henri VIII; mon père m'instruit au bel art de la chasse, les chiens, les faucons et moi nous prenons notre leçon ensemble. —

Tymczasem rodzina Henryka, a mianowicie siostra jego, piękna Elżbieta, z pognębiającą dumą na biednego spozierała Williama, i nie jednéj stąd doznał goryczy. Nakoniec wzbroniono Henrykowi widywać przyjaciela i przytrzymano go w zamku — lecz przy piérwszéj sposobności, gdy baczeniu strażników swoich ujść zdołał, połączył się z Williamem, i obadwaj spełnili oddawna powzięty zamiar, puszczając się na koniach hrabiego, w świat szeroki i daleki. Lecz niestety! Henryka pochwycono niebawem — William jednak uszedł pogoni — ukrył się w lesie — i poznał tam-że starego Attway'a (p. i. *Hath way)* — purytanina, chroniącego się przed prześladowaniem — i młodą córkę jego, powabną Annę. Przez dwa lata żywił ich Shakspere ubitą przez siebie zwierzyną, wreszcie, mając dopiéro lat 18, ożenił się z Anną. Schwytany następnie jako przekraczający prawa leśne, i zaprowadzony do miejscowéj władzy, zobaczył się z Henrykiem, który się do jego uwolnienia przyczynił (*). — Niezadługo potém, gdy nierozmyślna miłość jego dla Anny ostygła, a żądza czynnego życia, poznania świata silnie wzmagać się poczęła, napisał William do żony list pożegnawczy, tłumaczący jego postępek, i uszedł potajemnie do Londynu. — Attway i Anna niezadługo potém umarli. (**) —

W Londynie poznaje Shakspere aktorkę Ariellę, a przez nią robi znajomość pierwszych owczesnych dramaturgów i aktorów Anglii: Johnsona, Roberta Green'a, Marlow'a, Bonby'a i innych. Dyrektor teatru Johnson, poznawszy zdolność mło-

---

(*) W satyrycznéj balladzie przeciwko niedorzecznym uciemiężeniom, opisał Shakspere ten wypadek — lecz ballada ta zaginęła.

(**) Inni biografowie Shakspera twierdzą że żona jego dłużéj żyła. —

dziana, zamówił go do swego towarzystwa za płacę 100 fun. szterlingów rocznie. W rok potém wydał Shakspere swego *Pielgrzyma passyonowanego*, zbiór różnych poezyj, poświęcając tę pracę swoję Henrykowi Southampton — i już sławą okryty, przybywa wreszcie w dom hrabiego, nie ażeby salony magnata wycierać, ale iżby się zbliżyć do swego najlepszego przyjaciela. — Wszyscy go mile przyjmują, nawet i dumna Elżbieta więcéj aniżeli grzecznie go wita. — Urok ten olśnił Williama, i idąc za popędem serca ponawiał odwiedziny swoje. — Ale jakież powody miała arystokratyczna hrabianka do obsypywania względami swemi syna gminnych rodziców? — Uchylmy zasłony: hrabia Clarison, jéj narzeczony — którego wcale nie kochała — kochał się w Arielli i pragnął ją nawet zaślubić, — a hrabianka chcąc podzielić dostojeństwa jego, mniemała, że uprzejmością swoją dla Shakspera obudzi zazdrość Clarisona, i przez to wcześniéj do pożądanego dojdzie celu. — William w chwili oczarowania wyznaje Elżbiecie miłość swoję — Elżbieta to z uczuciem przyjmuje, i jakoby od niechcenia upuszcza pierścień swój w dłoń jego — William jest w zachwyceniu -- ale późniéj, gdy zimniejsza nastąpiła rozwaga, gdy sobie w pamięci jéj dumę przywołał, i wszystkie przebiegł okoliczności, postanowił usunąć się z czarownéj obecności Elżbiety i żyć tylko dla Arielli, która go z takiém uczuciem, z takiém poświęceniem kochała. — Minęło kilka tygodni, Shakspere zostawał w swojém zaciszu, gdy dnia jednego, właśnie gdy drugi akt *Othella* pisał, odbiera list od hrabianki pełen miłych wyrzutów i z prośbą, ażeby ją dzisiajszego wieczora odwiedził: że mu ma cóś ważnego powiedzieć — że jéj służebna, Leonora, wprowadzi go skrytemi wschodami. William o naznaczonéj godzinie biegnie na skrzydłach miłości, pewien, że z ust kochanki usłyszy zapewnienie uczuć wzajemnych — przybywa do pałacu, i Leonora wprowadza go tajemném wejściem na salony hrabianki, wpośród 200 osób stanowiących pierwszą arystokracją Londynu! — William wszy-

stko zrozumiał — mróz przeszył całe jego jestestwo — chciał nawrócić, lecz nogi uginały się pod nim: więc Elżbieta niecnie użyła podstępu, ażeby go jako bawidełko możnowładczym panom przedstawić! — O! wieszcz znamienity czuł wartość swoję, czuł się wyższym od tych wszystkich lordów, parów i hrabiów — którzy mu, jak Falstaf nieraz do jego dramatów posłużyli — czuł się wyższym swemi uczuciami i myślą. On im nie chciał być zabwką, nie chciał być najemną ozdobą ich salonów, nie chciał być ich lalką, nie chciał być protegowanym, kreaturą magnatów: jemu chodziło o cóś wyższego — o oklask angielskiego ludu! — O jakże to boli, kiedy widzimy, że prawdziwa nauka lub talent, bywa nie dla zasług swoich, lecz z miłości własnéj panów, do ich salonów wzywanym; kiedy ten, co chlubę swojemu narodowi przynieść winien, bywa niekiedy wyśmianym, że niezręcznie po śliskiéj stąpnie posadzce, lub że niebacznie krzesłem na bronzowych kółkach posunął; kiedy — o zgrozo! — kiedy im za tarczę różnych niedorzecznych dowcipów posłuży. — A ileż to nie zawiędnie młodych talentów od odurzającéj woni salonowego kadzidła! wybuja czczemi pochwałami podsycone szkodliwie zarozumienie — zdolności przekwitną — i zostanie się tylko bezlistna łodyga! — Zboczyliśmy nieco, a więc powróćmy do Shakspera. — Elżbieta z najwyższej uprzejmości wyrazem postąpiła ku Williamowi — lecz on jéj tylko uśmiechem ironii i spojrzeniem, które ją do głębi duszy przeraziło, odpowiedział. — Po chwili, kilku z gości wezwało grzecznie Shakspera — jednakże brzmiała ta prośba jakoby rozkaz — ażeby który ustęp z pięknych swoich utworów wygłosił. — Shakspere, zrazu niby tego nie dosłyszał — gdy w téjże saméj chwii, przypomina sobie II akt *Othella* dopiero co napisany — i z całym ogniem i uczuciem oddał im scenę, gdzie Murzyn rozmawia z dodżem i senatorami. — Wieszczowi się zdawało, że każde wyrzeczone słowo, ulżywa ciężarowi, co mu piersi przytłaczał. Panowie go zrozumieli — poszmer niezadowolenia rozległ się złowieszczo — i gdy umilkł,

a Elżbieta wzrokiem go szukała, już Williama w salonie nie było. — Nazajutrz aresztowano Shakspera za obrazę możnowładztwa — i obciążono go nawet kajdanami! — Na wieczór przedstawiono po raz pierwszy *Romeo i Julietta* w teatrze *Black-Friars* — i pomimo świstania, nakazanego przez możnych, skutek był olbrzymim. — Marlów głośno przyznał wyższość talentu Shaksperowi, i z powodu wielkiego wzruszenia umarł w kilka godzin późniéj. — Wrzawa z każdą chwilą się wzmaga — oklaski i świstanie walczą zacięcie z sobą — obecna w teatrze królowa okazuje niechęć swoję przeciwnikom autora, i wreszcie sykanie ustaje. Ariella w roli Julii jest niezrównaną — zapał dochodzi najwyższego stopnia — zewsząd wołają autora — powiewają chustkami — rzucają kwiaty — lecz autora nie widać! — Nakoniec występuje dyrektor teatru — oznajmia uwięzienie Shakspera — a natychmiast i do tych uniesień łączy się powszechne najwyższe oburzenie. Wtém Shakspere, którego właśnie ze śledztwa obok teatru prowadzono, wyrywa się z rąk żołnierzy i biegnie na scenę. Tutaj najgwałtowniejszém miotany wzruszeniem, upada na kolano — wspiera się jedną ręką o ziemię, a drugą — mając obiedwie kajdanami obciążone — wyciąga do publiczności, jakoby o sprawiedliwość wołając. Na ten widok wzmagają się okrzyki — kwiaty i wieńce otaczają wieszcza — królowa sama rzuca mu czerwoną różę, która jéj łono przyozdabiała. — Zasłona spada — znowu chcą ująć Shakspera, ale oswobodza go Henryk Southampton. — Tymczasem znikła Ariella — Elżbieta miotana zazdrością i nienawiścią, pragnąca się połączyć z Clarisonem — gdy tenże księciem i parem został! — kazała porwać biedną dziewczynę i oddać na okręt, co zbrodniarzy do Indyi zabierał. William i Henryk uwalniają Ariellę z mocy potworu, który się podjął tego dokonać — ale biedaczka otruta przez nikczemnego najemnika wkrótce w wieńcu chwały, który jéj za przedstawienie Julietty złożono, umiera. — William znał całą siłę miłości Arielli, poznał niego-

dny charakter Elżbiety — gdyż jéj narzędzie, Minuit, koniuszy Clarisona, wyjawił wszystko Shaksperowi — i nad utratą obydwóch zapłakał! — Któraż mu boleśniejsze łzy wycisnęła? — O! podobno niemasz krwawszego ciosu, jak poznać bezcześną stronę i niecność uczuć istoty ukochanéj! — serce walczy, pragnie porzucić niegodne więzy — i w okrutnych tonie cierpieniach. — Dzień pogrzebu Arielli ma być dniem ślubu Elżbiety. W stroju oblubienicy jedzie hrabianka do klasztoru *Siostr połączenia*, ażeby się tamże przed chwilą stanowczą pomodlić. — Wychodząc z kościoła spotyka Williama, wracającego z pogrzebu Arielli! — Zimny jak pokład marmuru oddaje Elżbiecie pierscień, i w zabijających wyrazach wyjawia jéj swoję pogardę. Elżbieta skruszona pod tak okrutnym ciosem, poznaje w téj bolesnéj chwili, że kocha Williama — lecz i zarazem, że się już dla niéj całe szczęście skończyło! — obudza się sumienie i wyrzutami swemi nieuleczone zadaje jéj rany. — Elżbieta żegna Williama — powraca do klasztoru — łączy się z pobożnemi siostrami — i w tydzień potém wykonywa śluby, rozłączające ją z światem na zawsze.

W roku 1614 Shakspere zostaje dyrektorem teatru. Pó zniéj znajduje córkę swoję Zuzannę — o któréj urodzeniu nawet nie wiedział, gdyż rodzice rozgniewani na niego, zachowali to przed nim w tajemnicy — wówczas gdy ją znalazł już nie żyli. Shakspere zrzekł się następnie dyrekcyi teatru i z córką swoją zamieszkał spokojne ustronie *New-Place*, w pobliżu Stratfortu, gdzie 1616 umarł. (*) —

Nie będziemy rozbierali ile jest zboczeń od rzeczywistości co do pomniejszych wypadków w powieści pomienionéj, gdyż

(*) Nowsi biografowie Shakspera twierdzą, że dzień jego urodzenia — 23 kwietnia — był po 53 latach i dniem śmierci jego. — W kościele Stratfortskim postawiono mu kamienny pomnik w murze, obok kazalnicy, który wyobraża Shakspera siedzącego w zamyśleniu —

główny rys życia Williama Shakspera jest tutaj wiernie skreślony. — Charakter niugięty i szlachetna duma wieszcza — wieszcza, który nie tylko w ojczyznie swojéj do najpiérwszych gieniuszów policzony został — dobrze oddany i przez cały ciąg jednostajnie utrzymywany, zajmuje i budzi najrzetelniejszy udział czytelnika. Nader miłym jest także i obraz Henryka Southampton, tém bardziéj, że bynajmniéj nie zmyślony— że takim był istotnie. Jego szlachetność i przyjaźń dla Shakspera, podnosząca własną jego wartość, silnie do czytającego przemawia — ale charakter jego, nie dosyć wydatnie oddany. — Elżbietę widzimy raz niby czułą, to znowu zimną i odpychającą — bo jéj duma wszelkie szlachetniejsze przytłumiła uczucia — i téj dumie wszystko poświęciła. Taki charakter w niewieście, w dziewicy, jest rzadkiem zjawiskiem — bo Elżbieta głucha na głos sumienia, posunęła się nawet do tak czarnego występku. — Ale czyliż żądza wywyższenia się — dążności możnowładcze — to najgwałtowniejsze najnaganniejsze uczucie, jeszcze do większych nie doprowadziły już zbrodni? — Ariella jest istotą pustą, wesołą — lecz gdy miłość jéj serce zajęła, stała się czułą i tkliwą. Ona ze śmiechem odrzuca książęcą konorę Clarisona, ze wzgardą odpycha bogactwa jego — i przenosi nad wszystko mierność a gdyby i niedostatek przy Williamie. Jéj łagodność jest prawdziwie niewieścią — bez wyrzutu — bez sarknięcia cierpi i umiera. — Jakąż sprzeczność przedstawia Ariella z Elż-

---

przed nim leży poduszka — on trzyma w prawéj ręce pióro, a lewa spoczywa na zwoju papierów. Nad nim jest napis:

Judiceo Pylium, genio Sokratem, arte Maronem,
Terra tegit, populus moeret, Olympus habet.

Shakspere był przystojnym, nader ujmującym w życiu towarzyskiem, i prawie zawsze czarno się ubiérał.

bietą! — A jednakże tamta, sama jedna w odmęt świata rzucona, zachowała serce i duszę nieskalaną; gdy przeciwnie, Elżbieta na łonie rodziny, w pośród osób ukształconych, starannie i pieściwie wychowaną została. — Charakter Clarisona jest bezbarwny, jak zwykle wszystkich jemu podobnych ludzi. — *Minuit*, koniuszy Clarisona, wykonawca występnych zamysłów Elżbiety — potwór co do uczuć swoich i powierzchowności — istota z dzieciństwa nieszczęśliwa, bo podrzutek — nienawidzi ludzi, którzy go od siebie odepchnęli, i z roskoszą wypełnia to wszystko, co cierpienie drugim przynosi. Może ten nieszczęśliwy nie byłby taką ochydą społeczeństwa, gdyby go świat przyjaźnie w swoje był ujął ramiona. Ale potrącony wszędzie, nie usłyszawszy nigdy przychylnego wyrazu, mścił się na wszystkich za niesprawiedliwość losu, i występkami odurzał boleść swoję. —

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

365. Kraków i jego okolice
opisał historycznie Ambroży Grabowski. Wydanie czwarte. Kraków. Druk uniwersytecki. Nakład Józefa Cypcera. 1844 8ka. Str. 570.

366. Niewiasta polska w trzech wiekach
Przez Dominika Magnuszewskiego. Poznań. W księgarni nowéj przy ulicy Wrocławskiéj n. 36. 1843. 12ka. Z napisami i przypisaniem, przedmowy danéj w Załuczu str. XXI. Samych powieści str. 310. Stronnica przypisów.

367. Nowy sekretarz powszechny,
czyli książka podręczna dla osób każdego stanu, zawierająca: wybór wzorowych listów we wszystkich stosunkach i okolicznościach potocznego życia, wybranych z dzieł najnowszych autorów, wraz z uwagami o listach, tudzież o sposobie pisania samemu w różnych materijach; wzory przedstawień do władz rządowych, wekslów, obligów, kontraktów, cessyj, testamentów, rozmaitych zapisów, zaświadczeń, wszelkich aktów urzędowych i t. p. z dołączeniem krótkich objaśnień nad te-

miż, przez M. Korzeniowskiego. Nowa edycija przejrzana, dopełniona i powiększona listami, z powinszowaniem dzieci do rodziców i krewnych, przez ks. Osińskiego. Wrocław· Nakład Zygmunta Schlettera. 1843. Druk G. Fritziana. 8ka stronnic 319.

368. Rozmowy łatwe,

zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien. Dla użytku szkół panieńskich, przez M. J. Frings, nauczyciela języka francuskiego w Berlinie. Przełożył na język polski Jan Julian Szczepański. Drugie wydanie poprawne. (Rozmowy te są w trzech językach, to jest polskim, francuskim i niemieckim, i tyleż mają kart napisowych. Nakład Milikowskiego we Lwowie, Stanisławowie i Tarnowie. 1843. Druk Jana Spurnego w Pradze Czeskiéj. 12ka. Str. 192.

369. Syn Puszczy,

dramat romantyczny w pięciu aktach z niemieckiego F. Halm wiérszem przełożony przez Jana Aśnikowskiego artystę dramatycznego t. p. Lwów. Lwów. Druk Piotra Pillera. 1842. Str. 155. Karta napisowa. Karta przypisania. 8ka mniejsza,

370. Obraz postępu nauki lekarskiéj,

o ile nań wpłynęły prace lekarzy polskich w trzech latach ostatnich, skreślony przez professora d^ra^ Józefa Majera. Trzylecie drugie 1840 — 1842. Kraków. Druk uniwersytecki. 1843. 8ka duża. Napis 1. Str. 432.

371. Nowo-rocznik krakowski.

wydany przez Michała Godzińskiego na rok 1843. Kraków. 1843. (Wiersze i proza). 16ka Str. 26.